Nr. 31. Sobota 4 (16) Kwietnia 1892 r. Rok IX.

Prenumerata

w Radomiu: Rocznie rs. 4, półr. rs. 2, kwart. rs. 1; pocztą: Rocznie rs. 5, półr. rs. 2 kop. 50, kwart. rs. 1 kop. 25. Numer pojedynczy kop. 5. Ogłoszenia: na stronie I kop. 20, na III kop. 15, na IV kop. 8 za wiersz. Nekrologu wiersz kop. 10. Ogłoszenia prócz Redakcji przyjmuje w Warszawie: Ajentura Ogłoszeń Rajchmana i Frendlera, Senatorska, № 18 i Warszawskie Biuro ogłoszeń, Wierzbowa, № 8.

GAZETA RADOMSKA

wychodzi we Środy i Soboty.

Redakcja przy ulicy Lubelskiej, Nr. 123, otwarta przed południem od godziny 10—1 i po południu od 3—5.
W niedziele i święta biuro redakcji bezwarunkowo zamknięte.

Prenumeratę

przyjmują w Radomiu: Redakcja, — księgarnie pp.: Zuckra i Dubeltowej; handle pp.: Rakowskiego, Wiktora Gruszczyńskiego, Potockiego, Szerszyńskiego, Michalskiego, Koźmińskiego, Wojciechowskiego i Paschalskiego. W Opatowie p. A. Gajewski; w Warszawie księgarnie: Paprockiego, Nowy Swiat, № 28 i Guranowskiego, Senatorska № 32.

Dziś d. 16 Kwietnia: † *W. Sobota.* Lamberta. | *Rękopisy bez zastrzeżenia nie zwracają się.* | Wschód słońca o g. 5 m. 05. Zachód o g. 6 m. 56.

ALELUJA!

Już srebrne dzwonki w lesie
W krąg budzą brać zaklętą,
Echo w dal głosy niesie:
Wstawajcie w wiosny święto!

Wiatr idzie przez zagony,
Sasanki modre buja,
A kwiaty grzmią, jak dzwony:
Hej, ziemio, Aleluja!

I płynie głos nad ziemią,
Szeroko i daleko,
Gdzie dęby w boru drzemią
I wierzby po nad rzeką.

* *

Wstrząsła się ziemia cała
Od tego dzwonków grania,
I ołtarz swój przybrała
Na święto Zmartwychwstania.

Raniuchny świt festony,
Z mgły rozpiął przeźroczystej,
A w górze zórz czerwony
Baldachim promienisty.

Zahuczał bór w organy...
Chylą się społem kwiaty,
A wierzby na znak dany,
Pękają na wiwaty...

* *

Dreszcz idzie ziemią całą
Cudnego pełną grania,
Bo Życie zmartwychwstało,
W to święto Zmartwychwstania.

I płynie hymn nad ziemią,
Szeroko i daleko,
Gdzie dęby w boru drzemią
I wierzby po nad rzeką.

Wiatr idzie przez zagony,
Sasanki modre buja,
A kwiaty grzmią, jak dzwony,
A hej nam! Aleluja!

LIST PANA ZAGŁOBY.

Łaskawy Imci Dobrodzieju!

Wybacz, że Cię epistołami memi zarzucam, starszy jestem a niejako i rangą wyższy, bo już do niebieskich lokatorów zaliczon, gdzie mi wcale przystojną kwaterę dano, kiedy Waćpan po ziemskiej skorupie jeszcze chadzasz, a tylko oczyma po niebiesiech inkursją czynić Ci wolno—ergo urazy do mnie nie żyw, lecz z należytą pilnością a staraniem odczytawszy—niemałą i dla własnej głowy prowizją osiągniesz, a z drugimi nabytą eksperiencją się podzieliwszy, ogólny aplauz uzyskasz.

Wiedz również i o tem, że chociaż mi nie przystoi mojej szarży w korespondencji z zwykłymi śmiertelnikami profanować—czynię owe ekceptio dla ciebie, boś i z dużej gęby i z urody do mnie podobny—tylko w zarozumienie z tej racji nie popadnij—boć i rzepa choć kształtnością jabłko przypomina i tem jabłkiem nie jest, a z podwikami się zbytnio nie zadawaj, bo z tego łacniej, niż z wina lub innych trunków pedogra i strzykanie w piszczelach przychodzi.

Rozgadałem się nimis, a że pan Michał już dwa razy na grzane piwo po mnie przysyłał — przeto stante pede przystępuję do materji, która tego pisania essencją ma być. Że tutaj w niebie każda nacja swój ziemski obyczaj statecznie obserwuje, przeto i my antiquo more sprawujemy „święcone“—z tą dyferencją; że w miejsce kurzych—gęsie jaja za staraniem Ś-go Marcina ku tej biesiadzie służą.

Zanim Ci—ku pożytkowi żyjących sposób robienia wódek gdańskich doświadczony a rzetelny podam, chcę opisać jaki krotochwilny eventus przy pieczeniu bab wielkanocnych latoś panu Longinowi Podbipięcie się przytrafił. A trzeba ci wiedzieć, że panu Longinowi, przez podziurawioną tatarskiemi strzałami skórę afekt dla Anusi Borzobohatej nie wywietrzał, lecz jeszcze goręcej w amory zapadłszy, na koniec ją tutaj do ołtarza zaprowadził, a co najdziwniejsza, że Bohun, który do nieba przypadkiem się dostawszy, teraz naszej kompanji się trzyma, i z panem Michałem z jednego kubka pije—w tej okazji mu drużbował. Na paschę tedy — że tutaj ani płatnych sług, ani żadnego wyrostka nie dostanie, boć wszyscy, tak cham, jak i bene natus (czego się nie chwali)—są równi i każden sobie sługą być i pospolite nawet funkcje spełniać musi—na paschę, tedy iż święcone u państwa Longinów odprawować się miało, pani Longinowa chciała z okazałym sumptem wystąpić, a zwłaszcza jakieś rarytne „baby“ uprażyć.

Powiada tedy małżonkowi: „Masz tu przepis, który po mojej babce dostałam, wsyp według tego do dzieży: mąki, cukru, masła i innych ingredjencji—tyle ile tam napisano, ażebyś się w rachunku nie pomylił, boby się cała rzecz popsowała, ja zaś skoczę do pani Kmicicowej po drożdże, które mi dziaduś, który tam piwo pędzi, przygotował.“

Trzeba ci jeszcze wiedzieć, że ta „sroka“ mnie „dziadusiem“ nazywa, choć sobie jeszcze zawsze z wiosną krwi upuszczam, bo humory we mnie grają!

Poszła. A pan Longin, wziąwszy przepis, który jeszcze od pana Przonki z Babina pochodzi — bo babka Borzobohatych z domu Przonkówna była, czyta i stricte tyle garści mąki i szczypt cukru do dzierżki sypie, ile tam zalecono. Anusia wróciwszy—wlała drożdży pod miarę—i zakasawszy rękawy u jubki—jęła miesić, aż jej pot ciurkiem po liczku spływał.

Co tam się później stało, nie wiem, ale gdyśmy na to święcone przyszli, pan Longin miał ogromnie zafrasowaną fizys, a na stole były jakieś żydowskie kugły a nie „baby“—które nieboszczka babka Borzobohatych specjałami mianowała. Dziękuję za takie specjały! Skorom tylko językiem dotknął, zaraz się zdegustowałem i nic dziwnego, kiedy nawet legawiec ś-go Huberta, któremum spory kęs onej „babki“ odkroił, kolki, zjadłszy, dostał—takie mu zakalec wstręty czynił, a choć po weneckiej dryakwi, którą mu zaaplikowałem, wydobrzał, węch jednakże zupełnie stracił i dziś nawet tatarzyna, który zawsze końskiem ścierwem cuchnie, nie zwietrzy.

Śmialiśmy się wszyscy, a choć inne potrawy grzecznie były przyrządzone, Anusia w złym humorze będąc, nademną się rozkwokała.

—To dziaduś wszystkiemu krzyw, rzekła, bo drożdże źle spreparował i „baby“ nie chciały się ruszyć!

— To ty smarkulo! mówię, koguta chcesz uczyć piać! Jeszcze ci mamka krzykliwą buzię piersią zatykała, kiedym ja już piwo i drożdże warzył. Niech Roch Kowalski powie, czy łżę! Widzisz ją! temi drożdżami, com je już w swojem życiu spreparował, możnaby wszystkie „baby“ na świecie ruszyć! A powiedz lepiej, że się znasz na pieczywie, jak żaba na majeranku, to ci uwierzę!

Jak się później wyklarowało, winien był trochę pan Longin, że się pieczywo sfelerowało, sypał co prawda, tyle garści stricte, co w przepisie objaśniono, ale jakich garści! Toż w Podbipięty garść garniec obroku wejdzie łacno, a szczyptą cukru możnaby cały alembik zasłodzić, ergo pojąć łatwo, że na jego miarę wszystkiego było zawiele i moje drożdże skutkować item nie mogły.

Opisuję ci ten ewentus dla tego, że jeszcze pono u was się praktykuje obyczaj mierzenia garścią i szczyptami, a ztąd nieraz podobny nieprzystojny casus przytrafić się może. Za to Baśce—wódka gdańska świetnie się udała, — co prawda, że ja, niechwaląc się, do tego magna parte się przyczyniłem. A robi się tak, tylko dobrze sobie zapamiętaj, jak ja to wykoncypowałem, bo od drugiego, tego sposobu nie skorzystasz:

„Wziąć wódki anyżowej garncy tyle, ile ma osób pić, chrzanu obie-

---

[16] „TUZY POWIATOWE“

Obrazek sceniczny w 3 odsłonach, osnuty na tle wyborów do władz Towarzystwa kredyt. ziemskiego,
napisał
KAZIMIERZ LASKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Rędzina. Więc jutro proszę panów do siebie, musimy bądź co bądź—coś uradzić. Nadolna przez licytację poszłaby za psie pieniądze, a to dobry szmat ziemi. — Więc jutro.

Wszyscy. Słowo! słowo...

Wydymalski. Proszę panów... (grupują się przy stolikach: przy pierwszym siada Prawdecki, Ajwajewski, Rędzina, Mantykiewicz, przy drugim Giętkiewicz, Wydymalski i dwóch jeszcze gości — trzeci obsiadają niższe figury).

Giętkiewicz. Po czemu gramy?

Wydymalski. Po kopiejeczce może?..

Mantykiewicz. Z zerkiem to może za drogo? (do Ajwajewskiego) Pan daje.

Prawdecki. Po groszu będzie prawie! Pik (Potakiewicz siedzi na kanapie i drzemie).

Ajwajewski. Z dwoma pasami.

Mantykiewicz. Tak! Trefl...

Rędzina. Pas!

Ajwajewski. Bez atu... (przy drugich stolikach również licytują).

Giętkiewicz. Gospodarz wychodzi. (Wydymalski zadaje kartę.) (Giętkiewicz krzywiąc się) Aa! któż widział.

Wydymalski. Nie mogę inaczej!

Prawdecki (deklaruje). Pięć kierów (grają).

Giętkiewicz. Od trzeciego króla? któż wychodzi!

Prawdecki (do Ajwajewskiego). To pan asa karo nie ma! jakże pan licytował...

Rędzina. Bez dzwonek—a tości się spisali...

Prawdecki. Pan nie masz pojęcia o licytacji (rzuca karty).

Ajwajewski. Jakto ja się nie znam na licytacji?

Prawdecki. Znasz się sąsiad — znasz! ale chyba nie w wincie!

Giętkiewicz. Zmarynowałem koronkę kier przez twoje wyjście — od trzeciego króla... kto słyszał? (słychać ciągle licytację przy trzecim stoliku).

Ajwajewski. Miałem dwa asy...

Mantykiewicz. To się odrazu bez atu nie mówi!

Rędzina (rozdaje karty). Trzeba było powiedzieć pas!

Wydymalski. Kiery...

Giętkiewicz (grający z nim). Dwa pik...

Ajwajewski (półgłosem). Ja się nie rzucam na licytacji... (ze złością pas... licytują, a on wciąż mówi pas).

Wydymalski. Szlemik mały w kiery...

Goście (przy trzecim stoliku). O! o! o!

Rędzina (do Wydymalskiego). To wam jakoś karta idzie.

Mantykiewicz. Trzy trefl —(do Ajwajewskiego) pan zagrywa.

Wydymalski (do Giętkiewicza). A toś radca wyszedł — jakto... w ich kolor—ej!.. (zabija) szczęśliwie się udało!

Giętkiewicz. Wpadamy!

Prawdecki. Na szlemika — bez illo (zerkiem). Ojej...

Wydymalski (do Giętkiewicza). Ej, radca nie masz pojęcia... *Jerzy* (wchodząc). Ale radzą!..

Potakiewicz (budząc się). A tak! tak... zdrzemnąłem się trochę... Grają (podchodzi do grających).

Wydymalski. Jak radca grasz piki, to wychodzimy...

Giętkiewicz. Wszystko jedno — zawsze była wpadana.

Wydymalski. Wychodziliśmy.

Giętkiewicz. Sąsiad przelicytował...

Wydymalski. Rozłóżmy karty (do Rędziny) proszę tu panów (wszyscy zbliżają się do stolika). Miałem as, król, dama, walet, dyska.

Giętkiewicz. Newka.

Wydymalski. Dyska—kier.

Giętkiewicz. Newka.

Wydymalski. Niech będzie newka—choć ja mówię, że dyska...

Teresa (wchodząc). Proszę panów na kolację.

Wydymalski. Nie przerywaj! Dyska, as, dama pik — bomy tuza grywa w piki, ja biję damą tuza (wskazuje palcem) król...

Teresa. Proszę, bo wszystko ostygnie — proszę panów...

Wydymalski. No, nie miałem racji...

ranego i pokrajanego funt, cebuli także obieranej i pokrajanej 2 funty, anyżu garści dziesięć, soli garści pięć, chleba razowego, dobrze na ogniu spalonego—sztukę dużą i piwa kwaśnego garniec jeden, to wszystko w alembiku przepaliwszy, odebrać flasz półgarncowych tyle, ile garncy wlano. Nabić znowu po raz wtóry w alembik oną wódkę z flasz wlawszy, a przepuściwszy należycie, odebrać połowę, reszta niech idzie na rozchód. Potem wsyp do odebranej wódki: cukru kandysbrotu funtów pięć i zmieszaj razem i przez kapicę białą przedystyluj.“

Powiadam ci, rarytas wódka! Po pierwszym kubku zrobi ci się tak gładko na sercu, jak mnie, kiedy się pan Michał w pojedynku z Bohunem popisał, a po drugim—to ci się tak w ślepiach rozjaśni, jak Kmicicowi, gdy pierwszy raz z Oleńką sam na sam piania kurów doczekał. Zresztą, co tu gębę długo psować, jeżeli tak z gustów, jak z urody, jesteś do mnie podobny, to niechybnie popróbować nie omieszkasz i słuszną mi zasługę i rzetelną rację przypiszesz.

Chciałem pisać jeszcze, ale ta Baśka wpadła i szturchnęła mnie w łokieć, cóż robić — gotowa mi jeszcze oczy wydrapać. Za miękkie mam serce dla tej podwiki. Muszę iść, bo i piwo stygnie, i goście czekają, bo to dziś u Wołodyjowskich raut! Bo i my tu za przykładem waszym odbywamy rauty. Traktament lichy... piwo! żeby to chociaż miód! Żegnam Cię, bo Baśka już rękaw u żupana naderwała. Ze też i na starość to szczęście do kobiet opuścić mnie nie chce! Wesołego Aleluja!

Zagłoba *herbu „Wczele“.*

Zgodnie z oryginałem:

Spero.

Kapelusze głogowieckie.

Otrzymujemy pismo następujące: Wynalezienie zajęć pomocniczych dla ludności wiejskiej, jest sprawą pierwszorzędnej doniosłości, zwłaszcza w latach silniejszej potrzeby zarobku, od którego zależy byt całych rodzin.

Wiele takich „przemysłów“ leży u nas odłogiem, z powodu dziwnej opieszałości i braku inicjatywy. Każde więc usiłowanie, dążące do zajęcia rąk bezczynnych, do dania im możności zarobku, nie odrywając ich od roli, należy do objawów dodatnich, o których jednak ogół zbyt mało zwykle bywa powiadomiony.

Do bardzo szczęśliwych pomysłów należy wynuczenie młodzieży wiejskiej wyrobu kapeluszy ze słomy, które dotąd masami sprowadzamy z zagranicy i płacimy często dziesięćkroć ich wartość. Jest to jednak robota trudna. Jeśli kapelusze mają konkurować z zagranicznemi, muszą być ozdobne, eleganckie, mieć fasony modne, czyli czynić zadość wymaganiom publiczności, przywykłej do dobrego towaru. Ażeby wymaganiom tym zadośćuczynić, do majętności Głogowiec, pod Kutnem, gdzie założono fabrykę kapeluszy słomianych, sprowadzono nauczycieli z zagranicy, ci zaś z pomocą chłopców miejscowych, których sztuki swej uczą, wzięli się do wyrobu kapeluszy, tak damskich, jak męzkich i dziecinnych, według dostarczonych im fasonów.

Wyroby ich są w całem słowa znaczeniu piękne. Widziałam zeszłego lata kapelusz z Głogowca, noszony w Warszawie przez bardzo wykwintną kobietę. Kapelusze są ażurowe, nadzwyczajnej lekkości, robią się ze słomy wybieranej według potrzeby i świadczą, że grube palce włościan mogą słomę uczynić podobną do najpyszniejszej koronki. Fabryka, stosownie do zamówień, byle te wcześnie uskutecznione były, może wyrabiać setki tuzinów.

Dotąd jednak musi się ograniczać na mniejszej liczbie z powodu trudności zbytu. I tutaj to spotykamy się ze szkopułem, o który rozbijają się zazwyczaj usiłowania jednostek, które nieraz posiadają doskonale tajemnicę jakiego wyrobu, lecz nie są obznajomione z tajemnicami handlu i z tego powodu tracą na swojej pracy, zniechęcając się do wszelkiej inicjatywy, gdyż brak im właściwego pośrednictwa.

Kapelusze głogowieckie znajdowały się już tego lata w kilku magazynach, lecz towar kupowany w fabryce na tuziny, stosownie do wielkości i piękności wyrobu, od 40 do 100 kop. sztuka, sprzedawany był po cenach wysokich, bo dochodzących rs. 4 za kapelusz wcale nie ubierany.

Kapelusze więc głogowieckie nie mogły się rozpowszechnić, tymbardziej, że nie nosiły nazwy swojego pochodzenia, a nieraz nawet figurowały pomiędzy wyrobami zagranicznemi. Tym sposobem cel był chybiony. Chodzi bowiem o to, byśmy raz poznali i ocenili produkcję krajową. Wówczas przestalibyśmy podziwiać taniość wielu przedmiotów zagranicznych i przekonali się, że u nas także wyrabiają się rzeczy ładne, nie kosztowne i zasługujące na poparcie, pomijając nawet cele filantropijne.

W racjonalnej produkcji filantropja iść musi w parze z istotną korzyścią kupującego, a możność nabycia ładnego kapelusza za kilkadziesiąt kopiejek stanowi korzyść niezawodną. Z drugiej strony znów rozwój fabryki stałby się dla mieszkańców Głogowca źródłem wielkiego dobrobytu, każdy bowiem uzdolniony robotnik zarabiać może z łatwością około 75 kop. dziennie.

W Głogowcu powzięto także myśl, ażeby ludność wiejska w długie wieczory zimowe, spędzane bezczynnie, wyrabiała ze słomy opakowanie na butelki, których przy każdym składzie napojów potrzeba tak wiele. Zgłaszano się do wielu odbiorców, proponując wyrób odpowiedniego towaru po cenach możliwie niskich, lub nawet niższych od zwykle praktykowanych. Nigdzie jednak nie można było zapewnić sobie zbytu i z tego powodu musiano zaniechać użytecznego przedsiębiorstwa, które za pomocą bardzo łatwej pracy dałoby zarobek ubogim rodzinom.

A o to głównie idzie inicjatorom tych nowych przemysłów! Oby więc trudności, nieodłącznie od każdego nowego przedsiębiorstwa, szczęśliwie pokonane zostały, a słoma nasza z użytkowana była na korzyść pracowników. *Walerja Marrené.*

Jerzy (zbliżając się). Ale radzą, radzą...

Rędzina. O jesteś już chłopcze, (do Giętkiewicza) lepiej było w karo...

Wydymalski. Proszę panów (wskazuje drzwi), albo odrazu w kiery.

Ajwajewski. Tak odrazu w kiery.

Teresa (której Ajwajewski podaje ramię, spogląda na Jerzego oczekując). A panu jak idzie, panie Maurycy?

Ajwajewski. Przegrywam...

Teresa (z uśmiechem). Kto nieszczęśliwy w kartach, szczęśliwy... (szepcą półgłosem idąc).

Jerzy. W miłości—(do Rędziny) jaka ona śliczna.

Rędzina. Kto? (spogląda w stronę Teresy).

Jerzy. Panna Nadolska...

Rędzina. A! a! (wychodzą).

Jan (wbiega na scenę i zabiera krzesełka). Nie wiem, jak im to smakować będzie, bo Onufry urżnięty jak nie boskie stworzenie!

(*Kurtyna spada, koniec aktu drugiego.*) (*C. d. n.*)

Święcone u pana sędziego.

Już od dawna coraz trudniej było spotkać się ze święconem, zastawionem po dawnemu. Smakoszostwo, zamiłowanie wygód, komfortu, elegancji i zbytków, te płody zbyt jednostronnej cywilizacji, przychodząc z zachodu, rugowały zwolna starodawny obyczaj, niweczące pierwotne zamiary obchodu, któremi były: aby dać wczas, odpoczynek, głównie możność uczestniczenia w nabożeństwie pracującym i służbie w dnie tak uroczyste i aby t. z. święcone było rodzajem uczty bratniej, prawdziwie chrześcijańskiej, za stołem której mógł siąść najuboższy. Dlatego, począwszy od W. Czwartku, po spożytej sutej t. z. Wieczerzy Pańskiej, nie nakrywano stołu do obiadu, śniadania i kolacji—aż po świętach dopiero; dlatego w święta same gotowano potrawy ciepłe chyba dla chorych lub dzieci tylko, a gdzie był bliżej kościół — chodzono do niego gromadnie na piechotę, trudzono służbę zaprzęganiem do powozów wyjątkowo, dla dam poważnych lub wiekiem osłabionych.

Starodawne święcone nie wyglądało bynajmniej, jak mawiali zagraniczni z ironją, że trafili na obchód weselny Gamasza,[1]) albo święta Komusa[2]) bożka, czy Bachusa, bo wtedy nawet przy stołach możnowładców, książęcych, nikt tortów, pasztetów, majonezów, trufli, win i likierów zagranicznych ani zobaczył. Była tylko prosta konieczność serdecznego przyjęcia ukochanych przyjaciół i miłych sercu gości—życzliwych domowi, a że tego była mnogość, trzebaż było wszechwładnej gospodyni o tych rzeszach, łaknących jej łask, pomyśleć.

Ostatnie święcone, obchodzone po dawnemu, jadłem około 1840 r., goszcząc na święta u sędziego L., jakiegoś nawet dziadka mego, u którego mnie przezywano pociotem, bo ciotka a siostra sędziego była mi wujeczną babką. Sędzia uchodził za rządnego, ale i umiał, gdy trzeba, wystąpić, to też tu nie brakło niczego, chociaż zaręczyć można, iż to całe święcone, którem pewno obdzielono do sta osób, mniej kosztowało, aniżeli dzisiaj trzeba wydać na wina zagraniczne, likwory i cudzoziemskie przysmaki przy przyjęciu kilkunastu zaledwo biesiadników.

Zasadą było obywać się swojem, o ile można najmniej kupować — zresztą wszystko łatwiej przychodziło wtedy. Była sarna, udziec jeleni, głowizna i szynka z dzika, wszystko wybornie przyprawione, bo zachowane sędziego lasy obfitowały w wszelki gatunek zwierzyny. Było i kilka z olbrzymich ryb, galaret, auszpików, bo stawy i sadzawki jeszcze miały dobre szluzy i chciwość ludzka nie wytępiła ich mieszkańców. Czy indory, czy kapłony, były doskonale utuczone, bo też wtedy pośladów do fałszowania niemi mąki nikt nie kupował. Chlubę gospodyni stanowiła ciast dziedzina: piętrzyły się stoły od przeróżnego pieczywa, pośród którego baby podolskie, wysokie na dwa łokcie, sakramenckie,[3]) które z daleka pachniały gorzkiemi migdałami, ptifeniowe,[4]) mało smaczne, ale tak subtelne, że wyglądały na rodzaj ciasta z batystu; najwięcej zwolenników miała staroświecka, szafranowa babka, tak przeładowana różnemi ingredjencjami, iż nigdy przyzwoicie nie wyrosła, pośród innych wyglądając na karzełka.

Lecz i co do trunków, nie miał się czego pan sędzia powstydzić. Całe baterje półgarncówek stały wypełnione smakowi tym czystym zieleniaczkiem, z piwnicy Jonasza Weinberga z Kozienic, rozsławionym po całym zaścianku sandomierskim. (Wspominamy nawiasem, iż garniec onego kosztował wtedy niecałe dwa ruble.)

Kilka mniejszych butelek, co na stole stały, zawierało wino półwiekowie prawie, bo pozostałe od chrztu najstarszego syna sędziostwa, ztąd Jasieńkiem go przezywano. W pękatych bańkach był miód jeszcze starszy, któremu niektórzy znawcy sto lat przyznawali.

Piwa domowej fabrykacji, miodu cienkuszu, stały w rogach sali beczki z kranami; z nich każdy ile potrzebował nalewał sobie i używał swobodnie.

Co do wódki, tylko starsi, co jej po naparstku wypili przed święconem, a nalewek dopominali się przy kolacji; starsze damy i młodzież zadawalała się likierami wyrobu pani sędziny.

Co mnie najwięcej pośród tego wszystkiego uderzało, to wielka szczodrobliwość obojga gospodarstwa, w szafowaniu temi darami Bożemi.

Od Wielkiej Soboty rano pisał listy sędzia: to do księdza proboszcza, to do ojca gwardjana sąsiedniego klasztoru, do których jejmość dołączała swoje babki, mazurki, placki i inne, jak tłuczeniec,[1]) przysmaczki. Wcześniej jeszcze wysłano całą furę pieczywa, ryb dla lepiej znajomych, dla doktora i t. p. — od pana sędziego, który ich mianował „najlepszymi przyjaciółmi swymi“, bo to oni ratują nas kochanku poradami swemi w każdej biedzie i kłopocie, a toć to tylko oznaka przyjaźni statecznej, nie całusy i umizgi.

Jejmość znowu ze swej strony nie zapomniała o nikim, przesyłając porcje święconego dla różnych gracjalistów, wdów podupadłych i sierót, któremi opiekowała się przez rok cały.

Nie zapomniała także o dziadach etatowych, co perjodycznie przychodzili pod jej okna po jałmużnę, a nawet o więźniach, zamkniętych w turmie sąsiedniego miasteczka, mówiąc: „Niech i oni, biedacy, mają uciechę w dzień Zmartwychwstania Pańskiego; często bierzemy za Barabaszów dobrego łotra jakiego, a Judaszów wybieramy sobie za przyjaciół pewnych.“

Na sali jadalnej u stołów spotykałem: to starych rozbitków losu rezydentów, którzy nie wiedzieli, co z sobą począć, synów ekonomów, uczęszczających do szkół kosztem sędziego, różne panienki, sieroty, pomieszczone po pensjach, pracowniach, magazynach, staraniem sędziny; to też z tej całej młodzieży i przybyłej w drugi dzień świąt, zorganizował się bal domowy. Od ucha wygrywała miejscowa muzyka, złożona z pisarza prowentowego, który grał na skrzypcach, panny łowczanki akompanjującej mu na klawikordzie, ekonoma, co takt podtrzymywał basetlą i organisty dmącego co sił w waltornię.

Czas wszystko zmienia, najpożyteczniejsze instytucje z dawności

[1]) Smakosz historyczny z Rabelego.
[2]) Komus, bożek żarłoków.
[3]) Robione według przepisów pp. sakramentek ze Lwowa.
[4]) Ptifeń—znaczył pół-batyst.

[1]) Tłuczeniec, rodzaj piernika domowego, z masą korzenia i tłuczonych orzechów włoskich.

straciły na zawsze swoją rację bytu, zastąpione nowemi. Być może, iż ci, co utrzymują, że przy zmianie stosunków pracodawcy do podwładnych, obchód święconego po dawnemu stanowi anomalję. Co się wszakże nigdy nie zmieni, to to, że zawsze będą biedacy i bogacze, co o ich potrzebach pamiętać, pozycją swoją obowiązani.

Wielisław.

Wiadomości bieżące.

*** Ministerjum spraw wewnętrznych okólnikiem z d. 22-go sierpnia 1874-go r. i senat rządzący rezolucją z d. 1-go czerwca 1889-go r. (ustawa o powinności wojskowej wyd. 1890 r. p. 520) wyjaśniły, że osoby w wieku popisowym, niewiadome z pobytu dłużej nad trzy lata, nie mają być wpisywane do list poborowych, o ile nieobecność ich została stwierdzona właściwemi dowodami. Na zasadzie powyższego jeden z rządów gubernjalnych wydał w swoim czasie rozporządzenie, aby osoby wymienionej kategorji nie były wpisywane do list poborowych, lecz do oddzielnej, specjalnej listy niewiadomych z pobytu i aby potem osoby te w razie zgłoszenia się dobrowolnego lub zatrzymania ich, oddawane były do wojska bez losowania. Następnie jednak, w r. 1891, senat rządzący, rozpatrując skargi kilku żydów na urząd rekrucki gubernjalny z powodu skazania ich na kary za niestawiennictwo do losowania, wyjaśnił, że według ścisłego rozumienia rozkazu Najwyższego z d. 14-go grudnia 1882-go r. (uwaga 3 do art. 46 ust. o powin. wojsk.) nieobecność nie może służyć za podstawę ani do niewpisywania do list poborowych osób, które dobiegły wieku popisowego, ani do wyłączania ich z list powyższych. Wskutek tego władza gubernjalna podniosła kwestję: czy wobec takiego wyjaśnienia senatu należy stosować się do wspomnionego wyżej okólnika ministerjum, czy też okólnik ten uważać za odwołany. Na zapytanie to władze gubernjalne otrzymały okólnik ministerjalny objaśniający, że w kwestji tej należy się kierować rezolucją senatu z r. 1891-go, która stanowi, że niewiadome miejsce pobytu nie może być uważane za dostateczną podstawę ani do niewniesienia do list poborowych osób w wieku popisowym, ani do wykreślenia ich, że zatem nie może być uważane również za legalne usprawiedliwienie niestawiennictwa do powinności wojskowej.

Z miasta.

Wiadomości kościelne. Nabożeństwo *w kościele parafjalnym* odprawiać się będzie w porządku następującym:

W Wielką Niedzielę „rezurekcja" rozpocznie się o godz. 5-ej rano, w czasie której wygłoszone zostanie słowo Boże, o godz. 9-ej msza św., o godz. 11-ej suma z nauką, o godz. 4-ej po południu uroczyste nieszpory.

W Poniedziałek Wielkanocny, o godz. 6½ jutrznia, o godz. 7-ej prymarja, o godz. 9-ej msza św., o godz. 11-ej suma z kazaniem, o godz. 4-ej po południu nieszpory.

= *W kościele po-Bernardyńskim* nabożeństwo odprawiane będą w porządku następującym:

W Wielką Niedzielę rano, o godz. 9½ solenna wotywa; o godz. 11-ej suma z kazaniem, o godz. 4½ po południu nieszpory, z wystawieniem Najświętszego Sakramentu.

W Poniedziałek Wielkanocny nabożeństwo całodzienne, odprawiać się będzie z wystawieniem Najśw. Sakr., o godz. 9-ej solenna wotywa; o godz. 11-ej suma z kazaniem, o godz. 4½ po południu nieszpory, zakończone "Te Deum".

Wszystkim Prenumeratorom naszym, Przyjaciołom i Współpracownikom „Gazety Radomskiej" przesyłamy najserdeczniej: „Wesołego Aleluja"!

Towarzystwo dobroczynności. Święta Wielkanocne dają zwykle przystęp szlachetniejszym myślom i budzą energję do czynów miłosierdzia względem biedniejszych od nas; każdy rad, aby w tych dniach uroczystych, jak najmniej było nędzy, aby troska nie zajrzała obliczu głodnych i dalekim był niepokój, czem przyjdzie zaspokoić potrzeby dni następnych życia.

Wszystkich zadowolić i nasycić, oto ideał szlachetnych pragnień i zadań wszelkich Towarzystw miłosierdzia publicznego; do tego jednak celu nie tak prędko ludzkość dojdzie i trzeba poprzestawać na sumiennych usiłowaniach, aby nędzy czoło stawić.

W tym też kierunku działa Tow. dobroczynności miejscowe, a Rada gospodarcza dzieli się wszelką wiadomością, dowodzącą, że życie się budzi, że wśród ogółu ma taż Rada poparcie. Dowodem tego, że na mającą się urządzić loterję fantową już nadesłano do redakcji „Gazety Radomskiej" sześćdziesiąt fantów; gdyby tak grono pań Szanownych protektorek naszego Towarzystwa w czasie dni świątecznych zechciało mieć biednych na myśli, to zebrać-by można w kółku sobie znajomych znaczną ilość fantów i te po przewodniej niedzieli raczyły-by Szanowne panie nadesłać do lokalu sekretarza Towarzystwa Dobroczynności, Józefa Helbicha.

Grób Zbawiciela w obu świątyniach odwiedzają tłumy pobożnych, ażeby złożyć hołd Temu, co umarł dla szczęścia i zbawienia całej ludzkości!

Pożar. We wtorek, przed południem, w domu p. Landego, przy ul. Lubelskiej, w pomieszkaniu p. P., wskutek nieostrożności wybuchł pożar. Straż ogniowa i domownicy ugasili ogień w kilka minut.

Pani P. uległa poparzeniu.

Następny numer „Gazety Radomskiej" wyjdzie we czwartek, d. 21 kwietnia.

Z okolicy.

Z Lasocina, w powiecie opatowskim, donoszą nam: Nieduża mieścinę naszą, bo liczącą zaledwie 118 numerów, zamieszkuje około tysiąca mieszczan rolników płci obojga i około ośmiu rodzin żydowskich.

Mamy tu kościół parafjalny, urząd gminny, szkółkę elementarną i ucząstek straży ziemskiej. Miejscowość górzysta, jest bardzo zdrowa, ludzie żyją długo i z najstarszych nikt nie pamięta, ażeby w Lasocinie panowała jakakolwiek epidemja. Gleba wogóle urodzajna i graniczy z pasem ziemi, t. z. sandomierki.

Mieszczanie z dawien dawna słynęli, jako ludzie poczciwi i skrzętni gospodarze. Jedynym celem ich życia była praca na roli, to też ziarnem swojem obdzielali rynki: Zawichosta, Ożarowa, Tarłowa i Ostrowca. Posiadając obszerne pastwiska i łąki, położone nad Wisłą, każdy z gospodarzy utrzymywał kilkanaście sztuk bydła, co równie podnosiło ich dobrobyt.

Były to świetne czasy, to też dbano więcej o oświatę, czego dowodem jest fakt, że z tak małej mieściny wyszło do dziesięciu księży, sześciu jest nauczycielami wiejskimi, a kilku zajmuje stanowiska przy drogach żelaznych.

Korzystając z zasobów nabywali chętnie ziemię bądź na własność ogółu, bądź każdy dla siebie. W taki sposób, w ciagu pewnego czasu, zakupili przeszło 800 morgów poręb, łąk i ziemi ornej i byli właścicielami z górą 2000 morgów, co dla tak małej mieściny, jak Lasocin, stanowiło spory majątek.

Lecz przysłowie mówi: „Zgoda buduje, niezgoda zaś rujnuje". Tak się też stało i z lasocianami. W r. 1884 idąc za namową, nabyli 210 morgów gleby, należącej do Dębna, pod warunkiem przyjęcia i spłacenia na siebie długu, jaki ciężył na całym majątku w Tow. kred. ziem.

Przez lat parę lasocianie wypłacali się zgodnie, ale wkradła się niezgoda, potworzyły się partje, które doprowadzały do tego, że zaprzestano płacenia rat, w następstwie czego Towarzystwo zmuszone było Dębno sprzedać przez licytację.

Upadek materjalny doprowadza do rozstroju moralnego, to też dziś poszanowanie cudzej własności należy do rzadkich fenomenów, a dawniej było cnotą ogółu.

Młodzież jest rozpuszczona, hulatyki i pijaństwo kwitną w najlepsze.

Nikt nie pamięta o domu Bożym, więc kościołek mamy ubożuchny i w ruinie prawie plebanję. Ale za to karczma stanęła wysoko! Dawniej propinacja przynosiła dworowi sto rubli, dziś Jankle i Dawidki płacą rubli tysiąc i jeszcze robią świetne interesy.

Ze świata.

Z Krakowa donoszą nam: Tegoroczny nasz sezon koncertowy u schyłku swego przynosi nam mnóstwo niespodzianek, tem cenniejszych i pożądańszych, że mimo pozornego ożywienia większa część tegoż upłynęła dosyć jednostajnie. Chwilami prawdziwie ożywczemi, które dostarczyły wzniosłych, w całem tego słowa znaczeniu artystycznych wrażeń, były koncerty naszych swojskich sił, które niestety z małemi wyjątkami obecnie tułać się muszą albo na obczyźnie, albo u swoich wieść żywot nieustalony. Dłuższa słabość panny Szlezyger, na jaką artystka po swym ostatnim u nas w jesieni z. r. występie zapadła, nie dozwoliła jej wcześniej wywiązać się z obietnicy wystąpienia z własnym koncertem w Krakowie. Z tem większem za to zadowoleniem witaliśmy ją zamykającą nasz muzyczny karnawał. O śpiewie i jego zaletach, o rodzaju, jaki przedstawia p. Szlezygierówna, o stanowisku, jakie zajęła w plejadzie najznakomitszych naszych śpiewaczek, nie potrzebujemy mówić. Zna to wszystko doskonale publiczność nasza, nie bez powodu otaczająca warszawską śpiewaczkę wyjątkową sympatją i uznaniem. Jako interpretatorka pieśni, umiejąca dla celów artystycznych wyzyskać wszystkie tajemnice i efekty koloratury, p. Szlezyger nie ma współzawodniczki. Jej głos nie porywa wprawdzie, nie imponuje siłą i rozległością skali, ale posiada dziwną siłę wywoływania wrażeń estetycznych. Jedna ona z niewielu, bardzo nie wielu, która może o sobie powiedzieć z dumą i chlubą, że śpiewać umie. To jej też w najpełniejszym zakresie przyznajemy. Koncert składał się z utworów, które wszystkie przymioty głosu, szkoły i koloratury śpiewaczki ukazały w całym blasku."

„**Frankfurter Ztg.**" donosi o powrocie Paderewskiego z Ameryki na statku „Trave." — Zdaniem dziennika pianista nasz w ciągu 16 tygodniowego pobytu za oceanem zebrał 75.000 dolarów.

Z literatury, sztuki i nauki.

„**Życie katolickie**". Pod takim tytułem panna Cecylja Zyberg Platerówna wydała książkę do nabożeństwa dla kobiet. Jest to jeden z najlepszych modlitewników, przeznaczonych dla naszych niewiast.

„**Tygodnik ilustrowany**" w ostatnim numerze celuje wielu pięknemi rycinami, między któremi znajdujemy reprodukcję modelu pomnika dla Alojzego Żółkowskiego.

„**Wędrowiec**" ostatni swój numer poświęca stuletniej rocznicy odkrycia telegrafu.

Nowa opera Moszkowskiego p. t. „Boabdil" w bieżącym jeszcze miesiącu ma być wystawioną w berlińskiej operze królewskiej.

Nowela Sienkiewicza, p. t. „Sachem", drukowana w przekładzie ruskim — w piśmie „Okraina", wyszła w Samarkandzie w osobnej odbitce i jest sprzedawaną na korzyść ludności dotkniętej głodem.

Na tle historji Mazepy skomponowała operę pani de Granvalle. Libretta dostarczyli dwaj dziennikarze francuscy, napisawszy je podług dramatu Słowackiego i poematu Byrona.

„**Dziecko taboru**", nowa opera czeskiego kompozytora Karola Bendla, została wystawiona z wielkiem powodzeniem w praskim Narodnim Divadle. Libretto do tej opery napisała Eliza Krasnohorska.

Polityka.

Francuska izba deputowanych odbyła w przeszłym tygodniu parę burzliwych posiedzeń. W piątek obradowano nad polityką kolonjalną, a przedewszystkiem nad sytuacją, która się wytworzyła w Afryce przez najazd Dahomejczyków. Opozycja, do której tym razem zaliczyć wypada wszystkich przeciwników kolonizacji, powtórzyła jeszcze raz wszystkie skargi, które słyszano już tyle razy od czasu rządów Juljusza Ferry'ego. Mówiono o wydatkach, które się nigdy nie wrócą, o rozerwaniu siły zbrojnej, która zamiast rozpraszać się po kolonjach, powinna się skupić na granicy niemieckiej, a wreszcie i o rozdrażnieniu ludów Afrykańskich, które życzliwiej były usposobione dla kupców francuskich, dopóki nie widziały francuskich żołnierzy. Z drugiej strony słyszano także zdanie, że rząd francuski zawinił nie tem, że zajmował obszary afrykańskie, ale tem, że nieraz zajmował je za późno i w najważniejszych punktach dawał się wyprzedzać innym państwom. Wszystkie te narzekania i krytyki nie zmieniły jednak faktu, że przeciw Dahomejczykom trzeba wystąpić czynnie i że bez pieniędzy uczynić tego nie można. Zwolenników p. Déroulede, który oświadczył, że nie da ani szeląga na opiekę nad trzema domami handlowemi, myślącemi tylko o własnym interesie, ale nie o dobru kraju, nie wielu znalazło się w izbie. Rozprawy zostały początkowo odroczone, gdyż rząd dał nakłonić się do przedstawienia wszystkich dokumentów, tyczących się Dahomeju, komisji parlamentu, która potrzebowała kilku dni do ich zbadania.

Zamiast rozprawy kolonjalnej, usłyszano w sobotę rozprawę kościelną. Ksiądz Hulst zainterpelował ministra spraw wewnętrznych, co zamierza uczynić dla utrzymania porządku w kościołach i czy protegowaniem burzycieli—chce doprowadzić do tego, iż duchowieństwo będzie musiało pozamykać kościoły. Prezes gabinetu, Loubet, oświadczył, iż rząd nie wydał żadnych uchwał, niezgodnych z ustawami, i iż nie zniesie, by duchowieństwo wtrącało się do polityki. Dep. Jourdan mówił o zachowaniu się duchowieństwa w jego departamencie i odczytał list biskupa z Mende, wzywający wyborców do oddawania głosów kandydatom klerykalnym. P. Ricard, minister sprawiedliwości, zawiadomił izbę, że biskup został już z tego powodu zapozwany przez rząd przed radę stanu, i że mu odjęto jego płacę ze skarbu państwa. Cassagnac zapowiedział natychmiast, że będzie na rzecz biskupa zbierał składki, i rozpoczął zbieranie ich podczas posiedzenia. W dalszym ciągu wygłosił minister zasadę, iż rząd karcić powinien każdego księdza, który ośmieli się ganić z kazalnicy ustawy państwa. Mowę swą zakończył Ricard zdaniem, że postępując oględnie, ale stanowczo, zmusi wszystkich do szanowania praw. Wszystkie stronnictwa, zajmujące lewicę izby, przyjęły mowę ministra z ostentacyjną życzliwością. Oportuniści oklaskiwali ją na wyścigi z radykalistami. Proponowany przez ks. Hulst'a porządek dzienny

odrzucono 363 głosami. Jest to ta sama liczba deputowanych, którą lat temu dziewiętnaście zgromadził Gambetta, by na jej czele wystąpić przeciw Mac-Mahonowi.

Miedzy rządami Francji, Hiszpanji i Belgji, toczą się rokowania o zawarcie układu, mającego na celu wzajemne odpieranie niebezpieczeństw anarchistowskiej natury. Powodem do tych rokowań były ostatnie wypadki w Paryżu i w Barcelonie. Inicjatywa wyszła podobno ze strony Hiszpanji.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca Rajmund Masłowski. Дозволено Цензурою — Г. Радомъ 1 Апрѣля 1892 г. W drukarni J. K. Trzebińskiego w Radomiu.